

UCZEŃ CARPZOVA

BARTŁOMIEJ BASIURA

dla Pani A.

Od Autora

Długo się wzbraniałem by wracać do czasów, kiedy stawiałem pierwsze kroki w swojej pasji, którą jest pisanie książek. Pamiętam dobrze tę ekscytację, która towarzyszyła każdemu kolejnemu rozdziałowi. Ta przedmowa to nie miejsce na tłumaczenie genezy „Ucznia Carpzoza”, a raczej hołd dla wspomnień.

W trakcie kampanii promocyjnej jednej z moich książek – „Zamkniętej Prawdy”, doszedłem do wniosku, że wehikuł czasu istnieje, a stanowią go właśnie te zapiski z przeszłości. Z zasady lepiej nie skupiać się na przeszłości, a zmierzać do przodu, ale pozwoliłem potraktować sobie ten eksperyment jako krok w stronę nowej przygody.

Okazuje się, że książka, którą trzymasz w ręce, pomimo upływu już czterech lat od czasu jej napisania, nie zdezaktualizowała się, a wręcz przeciwnie, nabrała głębszego znaczenia i uświadomiła mi, że jedyne co się zmienia to perspektywa – zależna nie tylko od wieku, ale również własnych doświadczeń.

Z pozoru mogłoby się wydawać, że to kolejny sztamponowy kryminał, gdzie główną rolę gra policjantka, która próbuje wymierzyć sprawiedliwość i złapać niebezpiecznego mordercę. Okazuje się jednak, że nowatorskie, a w pewnych momentach naiwne podejście, tworzy widowisko, w którym pierwszoplanową postacią staje się sam czytelnik. Bo choć rozwiązanie zagadki jest na wyciągnięcie ręki, zależy tylko od Ciebie, czy podejmiesz to wyzwanie.

Książkę dedykuję „Pani A.”, która wspiera mnie w moich pasjach od samego początku i przywraca wiarę w ludzi, za co bardzo dziękuję.

Zgodnie z tradycją, pozostaje życzyć miłej lektury.

Bartłomiej Basiura

Prolog

CZWARTEK WIECZOREM...

Otworzył drzwi i znalazł się w przestronnej kawiarni. Usiadł przy wolnym stoliku. Nie minęło więcej niż dziesięć minut, a zjawiała się Zosia. Uśmiechnęła się szeroko gdy szarmancko wstał i odsunął jej krzesło.

– Pozwól mi zgadnąć! – zaczął rozmowę. – Mała czarna?

Po chwili kelnerka przyniosła zamówioną kawę.

– Czym się interesujesz? – zagadnął nieśmiało. Nigdy nie wiedział jak zachować się w takich sytuacjach.

Rzadko spotykał się z kobietami, tym bardziej przy takich okazjach. Zdążył zapomnieć jak prowadzić z nimi rozmowę. Bał się, że Zosia złąknie się i chwilę po wypiciu kawy zwyczajnie go spławi.

– Lubię pływać, dużo śpiewam. W skrócie można powiedzieć, że kocham adrenalinę i dzięki temu nie boję się nowych wyzwań.

– Jakie jest twoje największe marzenie?

– Chciałabym odfrunąć, jak ptak, daleko stąd! Zapomnieć o wszystkim – wolał nie analizować jej odpowiedzi zbyt dogłębnie. W końcu dopiero się poznali, nie oczekiwał przyjacielskich zwierzeń.

– Nie Ty jedna – odpowiedział.

Zosia spoglądała na niego uwodzicielsko a on nie potrafił opanować swojego wzroku, który skierowany był bezpośrednio na jej głęboki dekolt. Była dość młodą dziewczyną, sam był zdecydowanie starszy, ale jak widać, w tej sytuacji różnica wieku jej nie przeszkadzała.

Słońce chyliło się już ku zachodowi. Delikatna poświata opadała na jej kręcone włosy.

– Dasz radę? – spojrzała na niego wymownie.

– A masz pieniądze?

Zosia kiwnęła głową.

Wyszli na świeże powietrze. Kelnerka odprowadziła ich wzrokiem, nie zostawił dużego napiwku, żeby się nie wyróżniać. Był w Mysłowicach po raz pierwszy, ale szczerze wątpił, aby mieszkańcy trwonili swój majątek w tej kawiarni. Znajdowali się w centrum zatłoczonego miasta. Tu i ówdzie przepychali się wiecznie zagonieni ludzie, którzy nie zważając na jakiegokolwiek przeszkodę, śpieszyli się do swoich domów po ciężkim dniu w pracy.

– Chodźmy. Tu nie jest bezpiecznie – wyswobodzili się z tłumu. Wolał pozostać niezauważony. Stary model Forda stał w niedozwolonym do parkowania miejscu. Wygląd samochodu zdradzał, że podróż nim nie należy do zbyt komfortowych.

– Jak masz na imię? – spytała go Zosia.

– Sebastian. Sebastian Luber – zmyślił na poczekaniu.

– Mogę Ci zaufać?

A masz inne wyjście?

– Oczywiście! – zapewnił. – Jutro będzie po wszystkim! Masz jakieś wytyczne odnośnie tego jak mam to zrobić?

– Nie obchodzi mnie to! Chcę po prostu, żeby mój mąż wiedział, jaki to ból być zdradzonym!

Wyobraził sobie zdezorientowaną Zosię jako młodą wdowę, która otwiera drzwi i słucha jak policjanci informują o śmierci jej kochanego męża... męża, który ją zdradzał. Widział przed oczami jej sztuczne łzy oraz fałszywie przybraną maskę żałoby, gdy otrzymuje kolejne kondolencje od bliskiej rodziny.

Skręcili w prawo. Znaleźli się na obrzeżach miasta. Prowadziła Zosia, sam nigdy nie siadał za kierownicą cudzych samochodów. Preferował inne środki transportu.

Poprawił skórzane rękawiczki. Niewielki błąd, a policja mogłaby go znaleźć, a tego z oczywistych względów wolał uniknąć. Przynajmniej teraz.

Zjechała na pobocze i wyłączyła silnik samochodu. Z dała widać było potężne kominy elektrowni.

– Masz. Sprawdź czy się zgadza! – podała mu kopertę. Przeliczył dokładnie sumę. Wsunął należność do wewnętrznej kieszeni kurtki. Nie zamierzał sprawdzać, nie dopuszczał opcji, że mogłoby się coś nie zgadzać.

– Jak to wytłumaczysz policji? – zapewne sprawdzą ich konta bankowe, brak takiej kwoty mógł budzić podejrzenia.

– To firmowe fundusze. Nikt się nie domyśli. Brak śladów.

Ach, wszystko jest takie proste.

Pocałował ją, zobaczył jej uśmiech. Ach! Była taka niewinna. Pojechali dalej. Zatrzymali się na hotelowym parkingu. Chwilę później ściągał z niej ubranie rozrzucając w nieładzie kolejne części garderoby.

– Nie przewidziałas jednego! – drwiącym uśmiechem spojrzał na jej nagie, bezwładne ciało, gdy leżała nieprzytomna. Nie była świadoma jak wiele atrakcji czeka ją tego wieczoru. – Twój mąż zapłacił więcej...

Część I

PIĄTEK, 10 SIERPNI

*„Kiedy cała przyszłość zależy od słów,
które właśnie mają zostać wypowiedziane, nie pozwól,
aby głos serca zagłuszyła logika”*

Philip Robinson

Rozdział 1

TYSIĄCE ŚWIATEŁ. SZAL SPOCONYCH CIAŁ. Ogłuszająca muzyka. Jeden, drugi, trzeci drink. Poruszał się w transie. Jego głowa kołysała się do taktu mechanicznej muzyki. Uśmiechnął się do plastikowej blondynki. Nie wiedział, co się dzieje. Poczul jak jej ręka wędruje pod jego rozpiętą koszulę.

Kolejny drink. Nogi nie reagowały na jego rozkazy. Oczy wędrowały z jednego miejsca na drugie pokonując w jego mniemaniu milową odległość. Wzdrygnął się widząc posturę jakiegoś umięśnionego osiłka, który targał nim niczym kukielką.

Chwila otrzeźwienia. Rozpostarł ramiona, leciał w przestworzach, jakby w niebie. Był nagi i nie zamierzał się wysilać, żeby na siebie coś założyć. Nie kontrolował swoich myśli, ale było to takie przyjemne. Płynął, brodził w labiryncie kamienic. Potykał się o krzywe płyty chodnika. Obok zobaczył jakąś brunetkę, wyglądała na dziwkę. Próbował się wzbraniać, ale ta wzięła go pod ramię. Stanęli oparci o mur. Spoglądał w jej oczy, ale chyba była zbyt daleko, bo widział jedynie jej rozmazany makijaż. Chyba gdzieś już ją wcześniej spotkał. Potem jakieś ciemne przejście. Uderzył o barierkę, przewrócił się do tyłu.

Ale to nie miało znaczenia.

Otworzył oczy. Znalazł się w jakimś jasnym miejscu. Oślepiało go słońce, próbował się przed tym schronić, ale jego wysiłki nie dały żadnego rezultatu. Ktoś wyrywał mu poduszkę, prosił, a raczej błagał o litość.

– Pobudka! – jego głowę rozdarł straszliwy ból, jak gdyby kucharz ćwiczył na niej robienie szaszłyków. – Pora wstawać!

Spojrzał na swoją matkę. Z wielką trudnością przełożył nogi. Mdlilo go. Ku zdziwieniu mamy, gwałtownie wstał i popędził jak do łazienki. Wymiotował, choć to słowo chyba do końca nie odzwierciedlało, co się z nim faktycznie dzieje. Spojrzał w swoje lustrzane odbicie. Wyglądał jak wrak człowieka. Co w ogóle się stało? Gdzie wczoraj był? Jak znalazł się w domu?

Usłyszał krzyk mamy, jej słowa przyniosły odpowiedź..

– Gdzie się tak długo podziewałeś?! Tata cię mijał, gdy wychodził na szychcę.

Ojciec podobnie jak większość mieszkańców wsi, w której mieszkał, pracował w kopalni, jego zmiana zaczynała się o godzinie szóstej. Teraz zegarek wskazywał południe.

Doszedł do wniosku, że rozmowa z mamą w tym stanie nie jest dobrym pomysłem. Tylko dlaczego nic nie pamiętał!? Nie zważył na słowa matki, która raczyła przypomnieć mu o niewykoszonej trawie.

Taa... Wręcz biegł do kosiarki, aby ryk silnika całkowicie dobił jego głowę. Wyszedł na zewnątrz. Ornontowice były o tej porze dość opustoszałe. Może i na wsi życie było sielskie, ale na dłuższą metę dość nudne, bo bez szans rozwoju dla takiego jak on, zarazem stanowiące wyjście bez alternatywy.

Jaki paradoks. On. Mateusz Kielczyk. Najpierw uciekał z tej wioski, liceum daleko od domu, studia jeszcze dalej, a teraz, powrócił i co najważniejsze – doceniał, że to miejsce jest na swój sposób piękne, co niestety nie gwarantowało satysfakcjonującego zatrudnienia.

W oddali dostrzegł kopalnię, która była główną przyczyną rozwoju tej śląskiej wioski, a zarazem zapewniała stosunkowo niewielkie bezrobocie w okręgu. Zawsze uciekał od górnictwa, większość jego rówieśników pracowała „na ścianie”, co sprowadzało się do wydobywania węgla głęboko pod ziemią, a on musiał zadowolić się tymczasową pracą jako stróż w miejscowym Urzędzie Gminy.

Każdy kolejny krok Mateusza sprawiał, że w jego głowie powstawało coraz więcej znaków zapytania. Gdzie wczoraj był? Z kim? Jak wrócił? Co pił? Dlaczego tak niedobrze się czuje?

Otworzył portfel. Ku jego zdziwieniu nie znalazł ani grosza, choć powinien się już do tego widoku przyzwyczaić. Kamień spadł mu z serca, kiedy zobaczył, że dokumenty są na swoim miejscu.

– Tak, słucham? – odebrał telefon. Spojrzał na wyświetlacz. Nieznany numer.

– Witam pana prezesa – usłyszał po drugiej stronie drwiący głos.

– Znamy się? – żadnej odpowiedzi. Powtórzył pytanie.

– Nie rób sobie żartów Kielczyk! Za dwadzieścia minut będziemy pod twoim domem! Mam nadzieję, że obędzie się bez problemów...

– Z kim rozmawiam!?! – Mateusz przerwał gniewnie, nie był w nastroju do żartów.

Odpowiedział mu tylko sygnał zakończonej rozmowy.

Wykręcił numer do najlepszego przyjaciela, Alberta, z nadzieją, że może od niego dowie się czegoś więcej.

– Cześć Albert! Z tej strony Kielek – wśród znajomych znany był właśnie pod tym przezwiskiem. – Jest taka sprawa. Wiem, że może to dziwnie zabrzmieć, ale czy myśmy się wczoraj widzieli?

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Dokładnie tak jakby przyjaciel od razu się rozłączył.

Mateusz złapał się za głowę. O co właściwie chodziło?!

A może powinien pójść do Magdy? W końcu była jego dziewczyną. Podobnie jak on, mieszkała w Orontowicach. Jej rodzina posiadała duże gospodarstwo rolne. Oczywiście istniało prawdopodobieństwo, że byli razem na wczorajszej imprezie. Ale Mateusz nie czuł się na siłach, aby teraz się z nią spotykać. Co powiedzieliby jej rodzice, gdyby zobaczyli go w takim stanie.

Spojrzał na zegarek, uznał, że lepiej potraktować tajemniczą rozmowę poważnie i udać się do domu, na wypadek gdyby tamten mężczyzna postanowił spełnić obietnicę.

– Gdzie jest towar?! – nawet nie otworzył furtki, a podeszło do niego dwóch facetów, których widział po raz pierwszy na oczy. Tego typu ludzi nazywał „karkami”, bo najwidoczniej urodzili się bez szyi, albo, co było równie dobrym uzasadnieniem, spędzali na siłowni większość swojego życia. Nie miał zbyt wiele do powiedzenia, pod naporem użytej przez nich siły, znalazł się w środku ich czarnego BMW, który tworzył bardzo dystynktywne połączenie z ich dresami.

– Ej! Ludzie! Dajcie spokój! Nie wiem o co wam chodzi! – nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Pędzili z zawrotną prędkością po wąskiej, wiejskiej drodze, która raczej nie była zbudowana z myślą o niskim podwoziu ich samochodu.

– Wstawaj Kielczyk! – na dzień dobry otrzymał kopnięcie w brzuch, które pozbawiło go na dłuższą chwilę oddechu. Mateusz upadł na twardą ziemię, nie miał odwagi spojrzeć napastnikom w oczy. – Gdzie jest towar!? – zapytał jeden z nich. – Kolejny raz nie będę pytał! Chyba nie chcesz abyśmy odwiedzili mamusię...

– Spokojnie! – Kieliek z trudem wstał. Otrzepał się z kurzu. Znowu miał ochotę wymiotować. Znajdowali się na jakiejś polnej drodze. Z daleka rozpoznał zabudowania Solarni, kolonii przynależącej do Ornontowic.

– Kupiłeś wczoraj towar Kielczyk! – usłyszał. Automatycznie zasłonił brzuch jakby obawiając się, że znowu zostanie uderzony. – Miałeś nam dzisiaj zapłacić – Mateusz zobaczył jak gangster targa w dłoniach jakąś kartkę papieru.

– Nic nie rozumiem! – zaczął się tłumaczyć. – Nie pamiętam o żadnym towarze. Za co miałem płacić?

Osilek zbliżył się do niego. Zamknął oczy jakby to miało go ochronić, w odpowiedzi usłyszał tylko drwiący śmiech. Kieliek domyślał się, że musi chodzić o narkotyki. Jeszcze w czasach studiów, gdy przebywał we Wrocławiu, zdarzało mu się zasmakować zioła. Znajomym z filozofii nie wypadało odmówić, a kierunek zobowiązywał, nikt na trzeźwo nawet nie próbował tego zrozumieć. Nie pamiętał jednak, żeby kiedykolwiek sam coś kupował, w dodatku od ludzi, których widział po raz pierwszy na oczy, a w środowisku naturalnym pewnie bały się do nich zbliżyć.

– Masz jeden dzień Kielczyk! Jest zbyt piękna pogoda, żeby brudzić sobie rączki. Poznaj nasze dobre serce! – gdyby nie dramat sytuacji, w jakiej właśnie się znajdował, zapewne parsknąłby śmiechem słysząc o dobrym sercu dwóch dresiarzy. – Jutro o tej porze wrócimy! Oddaj nam albo kasę, albo towar! Inaczej nie będzie już tak miło.

– Co to jest?! Ile?!

– Sto gram koki! Dziesięć kafli i jesteśmy kwita! – pożegnali się z Kielczykiem kolejnym kopnięciem w żołądek.

DOBRY MAKIJAŻ TO PODSTAWA. –

– Nie tak mocno, pani Celinko! Mam wyglądać ładnie, a nie sztucznie! – Adam zobaczył swoje odbicie w lustrze.

– Ależ oczywiście, panie premierze!

Wstał, ubrał marynarkę, która idealnie wpasowała się w jego ramiona. Spojrzał na materiały, które przygotował mu jego rzecznik. Uśmiechnął się, nawet gdy robił to wymuszenie, jego czarujący uśmiech spełniał swoje zadanie.

– Panie premierze! Już czas! – Sławek Tyniec, który pełnił rolę rzecznika rządu, wskazał na wysokie, drewniane drzwi, zza których dochodził już gwar rozmów reporterów.

Zawsze porównywał ich do szczekających psów, które czekają na swoją ulubioną karmę.

– Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć? – premier zawsze zadawał to pytanie przed swoim wystąpieniem. Nie lubił otrzymywać pytań, na które się nie zna odpowiedzi lub dowiadywać się od reporterów o sprawie, która zmuszałaby go do improwizacji.

Był w tym dobry, praktyka robiła swoje, ale robienie dobrej miny do złej gry nie należało do jego ulubionych rozrywek.

– Trzymajmy się planu – odparł po chwili Sławek. – Pamiętaj, że jesteśmy gośćmi naszego sojusznika. Gary Canton nie będzie robić problemów. Podkreśl jak ważna jest ta przyjaźń i tyle. – Adam przytaknął. Wiele by dał, aby kontakty z Rosją układały się również wzorowo jak te z Wielką Brytanią. – Mogą cię zapytać o to zdarzenie z wczoraj. Dość brutalne morderstwo, prokuratura prowadzi dochodzenie.

Premier spojrzał wymownie na swojego rzecznika.

– Znaleziono w Mysłowicach zwłoki kobiety. Wszystko wskazuje na to, że była torturowana. Piszą o tym w prawie każdej gazecie. Media znalazły sobie kolejną zagadkę. Ten morderca to chyba jakiś psychol – Adam był zszokowany. – Gdyby były jakieś problemy, będę interweniować.

Premier wiedział na czym polega interwencja rzecznika. W trakcie ostatniej kadencji kilka razy musieli zastosować działania w postaci przerwania konferencji prasowej słowami: „To już koniec pytań na dzisiaj.

Kalendarz premiera jest niestety bardzo napięty. Oczywiście zostaną państwo poinformowani o następnym spotkaniu”.

– Proszę nie zapominać o nadchodzących wyborach! – dodał rzecznik i z uśmiechem otworzył przed premierem drzwi.

Adam wyszedł na podest. Za jego plecami falowały flagi Polski, Unii Europejskiej oraz Wielkiej Brytanii. Uścisnął rękę Cantonowi, który wyszedł z przeciwległej strony. Odwrócili się razem w stronę fotoreporterów, dając im możliwość uwiecznienia tej chwili.

Adam Wolski lubił przyjeżdżać do Wielkiej Brytanii z wizytą polityczną. Miał świadomość tego, że Polska na arenie międzynarodowej nie jest traktowana jak kluczowy sojusznik, jednak w Anglii mieszkały miliony Polaków, co było niezwykle ważne z perspektywy zbliżających się wyborów.

Jako gospodarz spotkania, przemówienie rozpoczął premier Wielkiej Brytanii. Adam poprawił w uchu mikrofon, przez który wydobywał się głos tłumacza. Znał języki obce, między innymi angielski, niemiecki i francuski, ale uczestnictwo tłumacza na stałe przyjęło się w relacjach międzynarodowych.

– Z wielką radością witam dzisiaj premiera Polski! – zaczął mówić Gary Canton. – Współpraca z krajami Środkowej Europy ma dla nas niezmiennie kluczowe znaczenie. Polska była i jest jednym z naszych sojuszników.

Adam z trudem powstrzymał się od ziewnięcia. Którykolwiek kraj odwiedzał, wszędzie był ten sam schemat. Spotkanie głów państw było bardzo oficjalne i formalne. Prawdziwa polityka toczyła się za kurtyną, czyli rozmowy przedsiębiorców, doradców i ekspertów obu krajów, gdzie ustalano konkretne plany działania oraz określano szczegóły zacieśniania współpracy. O wielu kwestiach opinia publiczna nigdy się nie dowiadywała.

Tak było łatwiej...

– Wielka Brytania to dla Polski wzór – tym razem nadszedł czas na przemówienie Adama. Lubiał mówić, tym bardziej, że jego słowa faktycznie miały posłuch. To właśnie jego umiejętności oratorskie okazały się sukcesem w ostatnich wyborach. – Jestem bardzo rad z tak dobrych relacji pomiędzy naszymi krajami. Są rzeczy ważne i ważniejsze. Do tej pierwszej grupy należy na pewno wspólna polityka militarna. Cieszę się, że Ministerstwo Obrony

Narodowej uzgodniło możliwość kupna nowych helikopterów do zadań specjalnych, które dołączą do naszych oddziałów w Afganistanie już w przyszłym roku. Ale są rzeczy ważniejsze! Mówię tutaj o ludziach – premier zerknął porozumiewawczo na Cantona. – Ponad cztery miliony Polaków pracuje właśnie tutaj, na wyspach. Zabiegałem o to i wciąż będę walczył, aby godność i poszanowanie dla człowieka znajdowały się zawsze i bez wyjątku na pierwszym miejscu. Mam nadzieję, że wzorem Wielkiej Brytanii, uda nam się w Polsce stworzyć równie dobrze prosperującą gospodarkę, tak, że nasi obywatele nie będą mieć więcej powodów, aby szukać zatrudnienia poza granicami kraju.

Na sali siedziało kilkunastu reporterów. Adam rozpoznał znajome twarze dziennikarzy z Polski.

– Panie Premierze! Anna Dońska z Gazety Codziennej – zwróciła się do Adama jedna z reporterek. – Czy udało się ustalić coś w sprawie podatków? Czy Polacy pracujący na wyspach będą zwolnieni z płacenia w Polsce?

Taa... A może od razu ogłosić bankructwo kraju?

– Trudno znaleźć konsensus w tej sprawie – zaczął dyplomatycznie. – Ale jesteśmy na jak najlepszej drodze. Mimo to, dopóki pewne formalności nie zostaną rozwiązane, nie będę w stanie pozytywnie odpowiedzieć na to pytanie.

Pamiętaj o wyborach - przypomniały mu się słowa Sławka. Koniec kadencji zbliżał się nieubłaganie. Za trzy miesiące miało dojść do kolejnej batalii o głosy. Jego partia prowadziła w sondażach, ale historia nie raz pokazała, że sondaże jedno, a rzeczywistość drugie.

– Obiecuję wszystkim Polakom – jako rasowy polityk, nigdy nie stronił od tak zwanej kielbasy wyborczej. – Ze wszystkich swoich sił postaram się uregulować tę sprawę tak, żeby wszyscy czuli się usatysfakcjonowani.

Potem nadszedł czas na kolejne pytania. Premier Wielkiej Brytanii aż się spocił, kiedy jeden z natrętnych dziennikarzy zapytał go o powody rozwodu z żoną.

– Życie zmusza nas do różnych decyzji – przyszedł Adam z pomocą, gdy dostrzegł, że Gary Canton nie potrafi znaleźć racjonalnie brzmiącej odpowiedzi. – Politycy są osobami publicznymi, nie zmienia to jednak faktu,

że nadal pozostają ludźmi. Nie jest to sprawa, która mnie dotyczy – Adam chciał zakończyć tę patową sytuację. – Ale z tego co wiem, to w końcu ani kobiety ani mężczyźni nie są święci – zakończył z szerokim uśmiechem.

Adam spojrzął na Sławka, który podnosił kciuk do góry na znak, że tak właśnie prowadzi się kampanię wyborczą. W momencie, gdy politycy są spostrzegani jako sztywniacy, zwykły żart, nawet jeśli nie jest zbyt wyrafinowany, pozwala słuchaczom dostrzec ich ludzką twarz.

– Ostatnie pytanie, panie premierze – Adam poprawił marynarkę, odsunął na bok kosmyk ciemnych włosów i z uwagą spojrzął na reporterkę. – Zapewne słyszał pan o morderstwie, do którego doszło wczorajszej nocy. Śląsk jest w żałobie i wszyscy boją się wychodzić z domu. Czy rząd poczyni jakieś kroki, aby jak najszybciej złapać winnego tej okrutnej zbrodni?

Rzecznik wyrwał się do mikrofonu.

– To już koniec konferencji...

– Spokojnie, chcę odpowiedzieć na to pytanie – Adam odprowadził wzrokiem rzecznika, którego mina wskazywała na to, że premier będzie tego żałować. – Wierzę w profesjonalizm polskich służb mundurowych. Mam nadzieję, że morderca zostanie jak najszybciej schwytany. Obiecuję, że zbrodnia doczeka się kary – brzmiało to jak cytata z jakiegoś taniego kryminału, ale chyba nikt nie oczekiwał od niego pościgu za sprawcą.

– Tu chodzi o ludzkie życie i spokój zwykłych obywateli – oburzyła się reporterka. Najwidoczniej jego podniosłe słowa do niej nie przemówiły.

A miało być tak pięknie. A mogło być już po konferencji.

– Gdziekolwiek morderca jest, niech się boi! – odpowiedział powoli dobierając uważnie każde słowo – Ma pani rację. Są rzeczy ważne i ważniejsze. Tym drugim na pewno nie jest kampania wyborcza. Osobiście dopilnuję, żeby kolejnej tragedii nie było. Śląsk może liczyć na pomoc finansową od rządu. Prawdziwym sukcesem nie jest uczenie się na błędach, ale przewidywanie ich na tyle szybko, aby się przed nimi uchronić. Mam nadzieję, że więcej błędów nie będzie.

Premier wyszedł z sali konferencyjnej pozostawiając za sobą jedynie cichy pomruk. Nie potrafił wyzbyć się przeczucia, że ta odpowiedź nie należała do

przemysłanych. Wynikało to przede wszystkim z przeświadczenia, że przypisanie policji owego „profesjonalizmu” było pewnego rodzaju przesadą.

Rozdział 2

ZROBIŁ GŁĘBOKI WDECH. Był jedną z tych bezbarwnych postaci, które przemierzały anonimowo ulicami Gliwic. W takich miejscach jak to, nie bał się, że ktokolwiek go pozna, bo każdy skupiał się tylko na sobie.

– Jak mam cię nazywać? – obok niego dreptała koleżanka, nie potrafił jej inaczej zdefiniować, bo „przyjaciółka” to było zbyt wiele, a „ prostytutka ” politycznie niepoprawnie. Poznał ją parę dni temu. Nie było w tym oczywiście żadnego przypadku.

– Damian. Mów mi Damian – odparł.

– Mogę ci mówić Cyryl? – z jakiegoś powodu była pełna entuzjazmu. Nawet nie domyślała się jak okrutną zbrodnię popełnił ostatniej nocy. – Przecież Damian to zmyślane imię, prawda?

Rozejrzał się wokół. Było to typowo kobiece – najpierw mówią, potem myślą. W tych okolicznościach wyjątek od zasady był bardzo mile widziany. Zależało mu na anonimowości.

– Damian. Mów mi Damian – powtórzył nawet na chwilę nie przerywając kroku.

– Gdzie idziemy? – zapytała. Nie miał ochoty na rozmowę, cisza pozwalała mu się lepiej skupić.

– Już nie daleko, zaraz zobaczysz – zostawili miasto za sobą, zbliżali się do celu.

– Mogłeś mi powiedzieć, żebym nie ubierała butów na obcasach!

Nie przejął się zbyt jej jęczeniem. Choć od paru dni nie padało, a na termometrach utrzymywała się temperatura trzydziestu stopni Celsjusza, ścieżka prowadziła przez pole, gdzie nie brakowało ani kałuż, ani bagna.

Usłyszał wrzask. To Tamara upadła bez sił na brudną ziemię i bez większego rezultatu starała się pozbyć plam z jej różowej sukienki.

Kobiety.

Pomógł jej wstać. Na oczekaniu wymyślił komplement, że i tak wygląda uroczo, a następnie przyspieszył kroku. Za sobą słyszał tylko sapanie. Najwyraźniej jego długie kroki uniemożliwiały dotrzymania tempa jego koleżance.

– Wiesz dlaczego rodzice nazwali mnie Tamara? – usłyszał głos dziewczyny.

Bo się nie kochali...

– Dlaczego nic nie mówisz, Damianie? – zapytała ponownie. Zastanawiał się tylko, kiedy Tamara zrozumie, że nie ma ochoty na żadną konwersację o rodowodzie jej imienia. – Opowiedz mi coś o sobie!

– Jesteśmy na miejscu – spojrzał z rozżaleniem na swoją koleżankę. Strużka potu spływała po jej czole. Różowa sukienka była pobrudzona, a jej buty na obcasie nadawały się jedynie do wyrzucenia.

– Co z nim zrobisz? – Tamara spojrzała na Damiana. Zdjęła z siebie sukienkę, jego oczom ukazała się seksowna, bordowa bieliznę.

– Nie teraz! – odepchnął delikatnie jej rękę.

Łatwo znaleźć takie kobiety jak ona. Wystarczy, że powiesz kilka komplementów, spędzisz z nią upojną noc, a zrobi wszystko, czego tylko chcesz.

– Zimno mi! – powiedziała po chwili. Jej ciało było pokryte gęsią skórką.

Damianowi też było zimno. Znajdowali się w niezamieszkanym budynku przygotowanym pod rozbiórkę. Nikt tutaj raczej nie zaglądał, bo stan techniczny wskazywał na to, że w każdej chwili może dojść do zawalenia. Budowla należała do starej, zamkniętej kopalni. Zimny wiatr wpadał do środka przez wnęki, gdzie kiedyś mieściły się okna.

– Pamiętaj, że nie może się niczego domyśleć! – potrzebował Tamary. Zawsze polegał na sobie i nie do końca podobała mu się ta zależność. W tym przypadku nie miał innego wyjścia.

– Co z nim zrobisz? – zapytała ponownie. Damian odwrócił się pozostawiając pytanie bez odpowiedzi. – Zaczynam mieć wątpliwości...

Wysunął plik banknotów.

– Druga połowa po wszystkim.

Pocałowała go w usta. Poczuł smak malinowej pomadki. Złapał ją za włosy. Usłyszał jęk bólu. Rozerwał jej biustonosz i wyrzucił go przez okno. Spostrzegł jak mały karaluch wędruje po jej nagich plecach.

Nie ma to jak romantyczna aura.

– Chcesz wiedzieć, co mu zrobię? – przerwał pocałunek. Tamara była bardzo pobudzona.

Wziął do ręki karalucha, którego małe nóżki machały w powietrzu z coraz większą desperacją.

Koleżanka spojrzała z obrzydzeniem na obleśne stworzenie, rozglądała się dookoła, aby upewnić się, czy nie ma tego paskudztwa więcej...

Damian położył karalucha na podłodze. Wziął do ręki jedną nóżkę i zdecydowanym ruchem ją wyrwał. Następnie zrobił to samo z drugą. Ku przerażeniu Tamary włożył swoją zdobycz do ust. To była rozkosz dla jego podniebienia.

Koleżanka podbiegła do kąta i zaczęła wymiotować. Krztusiła się, ale nie zamierzał się fatygować, aby podtrzymać jej włosy, które zdążyły się zatopić w zawartości jej żołądka.

Nie ma to jak romantyczna atmosfera...

OTWORZYŁA DRZWI I ZNALAZŁA SIĘ w przestronnym budynku Komendy Wojewódzkiej w Katowicach. Maria Kozielska była pełna podziwu dla służb mundurowych na Śląsku. Sama pochodziła z niewielkiej wioski przy granicy polsko-ukraińskiej. Przez ostatnie pięć lat była komendantem komisariatu w Lubaczowie. Problemy rodzinne zmusiły ją jednak do decyzji o wyjeździe, tak właśnie wylądowała w Katowicach. Były to całkowicie inne realia, dzień uciekał za dniem, ale pasowało jej to, przynajmniej nie miała czasu myśleć o swoim małżeństwie, które zwyczajnie się rozpadło.

– Znalaziono ją w przejściu podziemnym – posterunkowy wskazał na staruszkę, która siedziała w poczekalni z kajdankami na rękach i patrzyła z niepokojem w stronę Kozielskiej.

Maria na co dzień pracowała w cywilu. Wykonywała doraźne prace, czasem brała udział w przesłuchaniach. Jej partnerem na służbie był Hubert, którego spostrzegła jako wesołego grubaska. Wyglądał w mundurze trochę

niepoważnie, bardziej nadawał się do brania udziału w spektaklach teatralnych, ale widocznie rola misia polarnego nie była szczytem jego marzeń.

– Co z nią? – zapytała.

– Chciałem ją wylegitymować – zaczął tłumaczyć posterunkowy. – Nic nie mówiła, ale oczy miała otwarte. Kazałem jej wstać. Siedziała na torbie wypełnionej po brzegi bronią. Większość używana.

– Co to za pistolety? – Kozielska nie spodziewała się usłyszeć takiej historii.

– Glock 17, rzadko spotykana w Polsce, używana przede wszystkim przez oddziały antyterrorystyczne.

– Powiedziała coś?

– Nie, pani inspektor – nie przepadała, gdy zwracano się do niej używając tego tytułu. W ich pracy było już wystarczająco dużo innych formalizmów. – Nie znaleźliśmy przy niej żadnych dokumentów. Nikt o niej nic nie wie. Dwójka funkcjonariuszy odwiedza miejsca, gdzie koczują bezdomni, ale na razie bez odpowiedzi.

Maria pokiwała głową. Podeszła do staruszki.

– Dzień dobry! – wyswobodziła jej ręce odpinając kajdanki.

Parę lat temu jej życie się zmieniło. Lubaczów był bardzo spokojnym miejscem, aż w końcu pewnego dnia odnaleziono zwłoki kobiety. Poznała przy tej okazji profesora kinetyki, czyli nauki zajmującej się między innymi mową ciała. Nikt nie lubi być okłamywany, ona również, głównie z tego powodu podjęła kroki, aby lepiej rozpoznawać ludzkie zachowanie.

Siedziała naprzeciw kobiety, która mając na uwadze jej wiek, równie dobrze mogłaby być jej mamą. Twarz staruszki pokryta była zmarszczkami. W okolicach ust spostrzegła zaschnięte pozostałości po jakimś posiłku. Oczy kobiety były zeszlone i ze smutkiem spoglądały na kubek kawy, który Kozielska trzymała w swojej dłoni.

Nieznane są statystyki ludzi bezdomnych oraz tych, którzy żyją na granicy ubóstwa. Maria widząc staruszkę miała przed oczami obraz wiekowej kobiety, która znajdując ostatnie siły, pcha za sobą zardzewiały, załadowany puszkami wózek, byle zarobić pięć złotych, dzięki którym przeżyje jeden dzień więcej,

który pewnie wyglądał pewnie tak samo, a alkohol zapewniał prowizoryczne szczęście, które kończyło się wraz z pobudką kolejnego dnia.

– Jak się pani nazywa? – Maria nie spodziewała się odpowiedzi.

Może to nie było zbyt profesjonalne z jej strony i wielu kolegów po fachu wykpiłoby jej zachowanie, ale Kozielska załała jeszcze jedną kawę, wyciągnęła bułkę, którą przygotowała sobie rano do pracy, a następnie poczęstowała staruszkę.

– Proszę mi powiedzieć... Jak ta broń znalazła się w pani torbie? – zapytała po chwili.

– Nie wiem. Nie pamiętam – chrapliwy głos wydobył się z gardła staruszki.

HA! Sukces! Wystarczyła kawa i bułka a udało się nawiązać z nią kontakt.

– Czy przypomina sobie pani, czy może ktoś przyniósł tę torbę, albo dał na przechowanie?

– Kupiłam tę broń – Kozielska zamrugnęła oczami, nie mogła uwierzyć w słowa, które właśnie usłyszała.

– Może pani powtórzyć?

– UFO mi wczoraj podrzuciło.

Maria nie mogła pozwolić na sytuację, aby ktoś sobie z niej w taki sposób kpił.

– Proszę pani! To nie jest śmieszne! Grozi pani kara pozbawienia wolności za nielegalne posiadanie broni!

– A czy ja nie mam przypadkiem prawa do adwokata? – Kozielska nie wiedziała co odpowiedzieć. Zaczynała żałować, że dała jej swoją bułkę.

– Wsadzić do więzienia! Zawiadomić prokuratora i adwokata! – krzyknęła chwilę później do posterunkowego. – Cześć Hubert! – kiwnęła swojemu kompanowi. Pochłaniał właśnie jakiś batonik. – Nie jedz tyle! Przecież mówiłeś, że przechodzisz na dietę, bo inaczej nie znajdziesz sobie dziewczyny i mama nie da ci spokoju!

– Ale to jest wafelek zbożowy – odpowiedział z rozgoryczeniem nie przejmując się pełnymi ustami. – chodź! Komendant nas wzywa!

– Co się stało? – niecodziennie chodziła na dywanik do przełożonego.

– Nie słyszałaś o tym zabójstwie? Jakiś psychol torturował dziewczynę. Słyszałem, że odciął jej dłonie. W końcu się biedaczka wykrwawiła.

– O Jezu! Wiadomo coś? Jacyś podejrzani? Znalezione tropy?

– Nic nie wiem. Właśnie po to idziemy do komendanta. Zaalarmowane są wszystkie służby, byle jak najszybciej schwytać sprawcę.

Weszli go przestronnego gabinetu. Kozielska nigdy wcześniej nie miała okazji spotkać się z komendantem w takich okolicznościach.

– Są rzeczy ważne i ważniejsze – Maria spojrzała na ekran telewizora i zobaczyła premiera Wolskiego, który z poważną miną, zwrócony w stronę kamery, odpowiadał na pytanie jakiejś dziennikarki. – Tym drugim na pewno nie jest kampania wyborcza. Osobiście dopilnuję, żeby kolejnej tragedii nie było. Śląsk może liczyć na pomoc finansową od rządu. Prawdziwym sukcesem nie jest uczenie się na błędach, ale przewidywanie ich na tyle szybko, aby się przed nimi uchronić. Mam nadzieję, że więcej błędów nie będzie.

– Jak sami widzicie, sprawa jest poważna – komendant zwrócił się do Marii i Huberta wyłączając telewizor – Stolica zainteresowała się naszą sprawą. Trochę przez przypadek do gry włączył się sam premier, jutro ma tutaj przyjechać, a ja muszę mieć jakikolwiek trop. Potrzebna mi jest każda pomoc, chyba nie muszę mówić, że na was liczę.

Kozielska zastanawiała się, czy komendant przeprowadził takie rozmowy ze wszystkimi policjantami, wydawało jej się, że wystarczyłoby zwykła narada albo otwarty list.

– Przecież morderca może być już daleko stąd! Pewnie uciekł za granicę i zakamuflował się w jakiejś kryjówce – powiedział Hubert.

– A co ty na to, Mario? – przełożony zwrócił się w stronę Kozielskiej.

– Nie znam sprawy. Równie dobrze morderca może polować na kolejną ofiarę.

Komendant przytaknął.

– Straż graniczna jest postawiona na bacności na wypadek, gdyby poszukiwany chciał wyjechać z Polski. Nie mamy jednak żadnego rysopisu, nawet zwykłego przypuszczenia, kim on może być.

– A ofiara? – Kozielska się zainteresowała.

– Zofia Nowak. Miała dwadzieścia osiem lat. Była mieszkanką Mysłowic. Jej mąż jest teraz na komendzie. Wygląda na to, że jest w szoku, bo nie potrafi nic powiedzieć. Rozmawiają z nim psycholodzy.

– Gdzie doszło do morderstwa? – Kozielska kątem oka dojrzała wyrzut na twarzy Huberta. Pewnie o wszystkim wiedział. Komendant jednak tego nie zauważył i powoli zaczął wszystko tłumaczyć.

– W Mysłowicach są pozostałości po starej kopalni węgla kamiennego. Z zasady nikogo tam nie ma, nawet ochrony, bo raczej nie ma tam czego pilnować. Blisko głównych budynków przebiegają linie kolejowe łączące Przemyśl z Wrocławiem. Maszynista usłyszał krzyk i powiadomił policję. Spójrzcie na zdjęcia – przełożony podał Marii i Hubertowi teczkę wypełnioną dotychczas zgromadzonymi informacjami. – Poszukiwany związał Zofii ręce cienkim rzemykiem, zatamował tym samym dopływ krwi. Przeciągnął linkę przez kołowrotek zawieszony przy suficie i z całej siły ciągnął. Sekcja zwłok wykazała, że najpierw wypadł jej lewy bark. Wszystko mogło trwać nawet godzinę, a każda kolejna sekunda powodowała niewyobrazalny ból. W końcu wyrwał jej ręce. Nie wiem czy ofiara była przytomna, wygląda na to, że bezpośrednim skutkiem śmierci było wykrwawienie.

Maria była zbyt zszokowana tymi doniesieniami.

– Jakies poszlaki? – zapytała Kozielska, ale odpowiedź była dla niej oczywista.

– Niewiele. Technicy badają próbki ziemi, którą znaleźli w budynku opuszczonej kopalni. Szczerze wątpię, aby to nas do czegokolwiek doprowadziło. Często śpią tam bezdomni, więc może to być czasochłonny proces. Jest tylko jeden trop...

– Ślady DNA? – przerwała Maria z nadzieją. Ofiara mogła zostać zgwałcona, nieuwaga sprawcy mogła doprowadzić do identyfikacji jego osoby.

– Tak... – komendant nawet nie krył zaskoczenia. – Na szyi Zofii została znaleziona sperma. Istnieje nadzieja, że pochodzi od mordercy. Jeżeli uda nam się go złapać, ten trop posłuży jako niezbity dowód.

– Co mamy robić? – Hubert włączył się do rozmowy.

– Morderca torturował Zofię. Znajdźcie potrzebne informacje, może używa jakiś sprawdzonych sposobów – chyba spostrzegł powątpiewającą minę Kozielskiej, bo po chwili dodał. – Mogę się mylić, tak naprawdę to chwytam się brzytwy, bo nic na niego nie mamy. Będę was informował na bieżąco o postępach śledztwa. Musimy być przygotowani na najgorsze.

– Czyli? – Hubert chyba jeszcze nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji, ale Kozielska znała odpowiedź, więc pozwoliła sobie wyręczyć przełożonego.

– To, że wczorajsze morderstwo jest dopiero początkiem...

- JESTEŚ PEWNY? – ZAPYTAŁA ADAMA ANNA.

- A czy mam inne wyjście? Ludzie na mnie liczą, a partia potrzebuje przywódcy.

– Dźwigasz na barkach niesamowity ciężar. Musisz brać na siebie odpowiedzialność za całe państwo?!

– Kochanie! – premier spojrział głęboko w oczy swojej żonie. – I tak będziesz zawsze najważniejsza! Są rzeczy ważne i waż...

– Skończ! – po jej policzku spłynęła łza. – Nie uprawiaj polityki, gdy ze mną rozmawiasz!

– Adam – podszedł do nich Adam i zwrócił się bezpośrednio do premiera – jest kilka spraw...

– Przyjdę za dziesięć minut – odprawił z kwitkiem rzecznika. Przybliżył się do żony i z całej siły ją przytulił. – Dobrze wiesz dlaczego startuję w kolejnych wyborach. Jestem świadomy, że jest to dla ciebie obciążenie...

– Przecież ta cholerna polityka cię wykończy! – dawno już nie widział Anny tak bardzo wzburzonej. – Spójrz na siebie! Wciąż tylko pracujesz, podróżujesz po świecie, nie sypiasz. Wszyscy cię obwiniają za kryzys, opozycja obrzuca oszczerstwami. Boję się tylko o jedno, Adamie...

– Co się dzieje, żabciu?

– Że na tym wszystkim straci nasza rodzina. Kiedy ostatnio widziałeś córkę? Czy ty wiesz w ogóle ile ona ma lat?!

– Ależ żabciu...

– Wiesz jaki jest twój problem?! Nie potrafisz powiedzieć „stop!”. Wciąż jest coś, co musisz zrobić w pierwszej kolejności, a niestety nigdy nie jestem twoim priorytetem. Ja to wszystko rozumiem. Ale są wydarzenia, które cię omijają z twojej własnej winy, a czasu nie cofniesz! Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał mi przyznać racji, ale to się właśnie dzieje, a przecież zyczę ci jak najlepiej.

Adam nie wiedział, co powiedzieć. Jego żona miała rację. Znajdowali się teraz dziesięć tysięcy metrów nad ziemią w rządowym samolocie. Wracali do Polski po jednodniowej wizycie na wyspach brytyjskich. Pogubił się w tym wszystkim, ale tak trudno było znaleźć złoty środek.

Premier powinien przejść w tym momencie do swoich doradców, mieli omówić plan na najbliższy dzień oraz przygotować założenia kampanii wyborczej. Może taka chwila pozwoliłaby Annie ochłonać.

Żał mu było rodziny. Gdy jego partia wygrała ostatnie wybory i został desygnowany na Premiera, jego życie zmieniło się nie do poznania. Anna zawsze wytrwale stała przy jego ramieniu, służyła poradą i wsparciem. Córka Sara właśnie kończyła swoje studia. W ostatnich latach przeżywała różne perturbacje miłosne, a prasa z przyjemnością wszystko komentowała.

Nie zastanawiał się długo nad ponownym kandydowaniem. Sondaż wskazywały, że ponad siedemdziesiąt procent społeczeństwa popierało jego rząd. Choć opozycja wciąż wypominała rosnący dług państwa, bezrobocie, zbyt dużą uległość wobec Unii Europejskiej, profil polityki zagranicznej nastawiony w kierunku USA, to jednak rząd Adama Wolskiego wykonywał założenia swojego programu, co było do tej pory rzadkością.

– Udało się przynajmniej załatwić sprawę z Cantonem? – Anna zapytała męża.

– Typowo angielska kultura. Miałem się porozumieć w sprawie konferencji, którą organizujemy w przyszłym roku w Polsce. Zależy nam na tym, aby przyjechało jak najwięcej osób takich jak on, aby zadbać o odpowiednią rangę spotkania. Trochę mnie splawił, ale powiedział, że postara się dotrzeć...

– Za bardzo się wszystkim przejmujesz! Nie możesz wykonywać pracy innych...

– Kolejni urzędnicy? Znowu mam wysłuchiwać o problemie biurokracji? Przecież podzielasz moje zdanie, że pewnym można być tylko tego, czego samemu się dopilnuje...

Anna przyglądała mu włosy, które jak zwykle nie chciały podporządkować się piance zaaplikowanej przez panią Celinę. Może faktycznie wszystkim się za bardzo przejmował. Zawsze miał o to do siebie pretensje, ale nieustannie powtarzał ten podstawowy błąd.

– Zaraz wracam, żabciu...

Wstał i skierował się do kokpitu pilotów. Zawsze lubił poznać ludzi, od których zależało jego życie.

– Dobry wieczór panowie. Kiepska pogoda nad Holandią, hmm? – zagadnął przyjaźnie, piloci raczej nie spodziewali się takiego spotkania.

– Panie premierze! – odpowiedział uprzejmie kapitan – Czy możemy jakoś pomóc?

– Nie, dziękuję. Po prostu chciałem się przywitać.

– Zawsze do usług!

Adam zerknął na niezliczone guziczki i konsole, z uśmiechem udał się w kierunku tylnej części pokładu, gdzie czekali na niego najbliżsi współpracownicy. Była ich dzisiaj tylko garstka. Zwykle na pokład zabierał doradców oraz grupę reporterów.

– Jakież nowe opinie dotyczące wizyty w Anglii? – zerknął na Sławka, który był jego prawą ręką w każdej sprawie.

– Niewiele. Na pierwszych stronach portali internetowych piszą o sprawie tego mordercy ze Śląska.

– Chcę być informowany na bieżąco.

– Ma pan świadomość, że dzisiejsza konferencja prasowa nie była udana? – odezwał się Robert, który na co dzień zajmował się przygotowaniem przemówień dla premiera. Dbał również o kwestię wyglądu i prezencji.

– Dlaczego?

– Ten morderca wygląda na niebezpiecznego wariata. Może dojść do kolejnych zabójstw, a pan obiecał publicznie, że dopilnuje, żeby go jak najszybciej schwytano.

– Miałem powiedzieć, że gównu mnie obchodzi, a kolejne osoby zginą, bo na to zasłużyły?! – zirytował się.

Doradcy patrzyli na niego z niepokojem. Rzadko zdarzały mu się tego typu wybuchy złości, co pewnie było związane z uwagami Anny, którym ostatecznie musiał uznać jako zasadne. Starał się nie nadużywać wulgaryzmów, ale też był tylko człowiekiem i czasem nie wytrzymywał presji.

– Co się tak patrzycie?! Ludzie oczekują ode mnie, że dam im nadzieję. Nie mogę unikać trudnych tematów, bo wtedy nie będę traktowany poważnie! Właśnie dlatego nie widzę innej możliwości, niż pojechać jutro na Śląsk! Sławek – spojrzał na rzecznika. – Dopilnuj proszę, abym mógł przekazać na jutrzejszej konferencji jakieś konkretne informacje.

Doradcy byli przyzwyczajeni do tego, że słowo Premiera jest zawsze ostateczne, teraz nawet nie próbowali z nim polemizować.

Adam usiadł na fotelu. Chwilę później stewardessa przyniosła mu filiżankę z zieloną herbatą. Nie potrafił odmówić sobie kawałka gorzkiej czekolady.

– Coś jeszcze? – zapytał doradców.

– Ludowcy chcą przegłosować ustawę dotyczącą legalizacji posiadania minimalnej ilości narkotyków.

– Za trzy miesiące wybory... Powariowali?

– To raczej akt desperacji. Sondaże nie dają im większych szans, możliwe, że w ogóle nie przekroczą progę wyborczego. Właśnie dlatego chcą to zrobić teraz.

– Co na to partia? – Adam wiedział, że i tak jego słowo ma decydujący wpływ.

– Głosy są podzielone. Jedni mówią, że warto, bo Polska ma bardzo restrykcyjne prawo narkotykowe. Zyskalibyśmy zarazem część elektoratu lewicowego. Z drugiej strony jest to sprzeczne z programem. Opozycja będzie nas oskarżać o łamanie założeń programowych.

– Jutro jest posiedzenia Rady Ministrów. Poruszę tę sprawę.

– Można słowo... – Eryk nieśmiało podniósł rękę. Był najmłodszy w tym gronie. Niedawno skończył studia. Adam szanował jego rady, bo wykazywały innowacyjność, co jego polityce dodało w ostatnich miesiącach wiele wigoru.

Premier zachęcił unosząc dłoń.

– Osobiście uważam, że bezpieczniej byłoby zamrozić projekt tej ustawy. Nie potrzebne są na ostatniej prostej kampanii tego typu radykalne ruchy, tym bardziej, że kwestia narkotyków budzi wiele kontrowersji. Z całym szacunkiem dla twórców, ci którzy chcą dostać tego rodzaju używki i tak je znajdują. Nie powstrzyma ich ani zaostrzenie przepisów ani ich liberalizacja. Jeżeli wygramy wybory, wtedy będziemy mogli przemyśleć takie propozycje, ale w tej chwili ponosimy zbyt duże ryzyko utraty elektoratu, który wcale nie jest pewny swojego poparcia.

Adam pokiwał głową.

– Rozpoczynamy manewr lądowania. Proszę wrócić na swoje miejsca i zapiąć pasy bezpieczeństwa – z głośnika wydobył się głos kapitana.

– Porozmawiamy jutro, panowie. Jeszcze dzisiaj chcę mieć na swoim biurku raport dotyczący stanu zadłużenia państwa.

– Dzisiaj panie premierze? – obruszył się Robert.

– Teraz każda minuta jest na wagę złota. Nawet jeżeli przegramy wybory, chcę zostawić po sobie porządek. Państwo musi być w dobrej kondycji, co do tego chyba nie ma wątpliwości.

Wrócił do żony. Niepostrzeżenie pojawił się obok niego Sławek.

– Wyluzuj Adam! Na wszystko przyjdzie czas.

– O co wam wszystkim chodzi!?! – najpierw Anna, teraz Sławek. Nie mógł już znieść tych niekończących się pretensji.

– My też potrzebujemy odpoczynku. Pracujemy szesnaście godzin na dobę. W końcu też mamy rodziny i pewne granice wytrzymałości.

Adam poklepał Sławka po ramieniu. Wymusił na sobie uśmiech.

– Raport do końca tygodnia! I ani dnia więcej!

Złapał Annę za rękę. Zobaczył jej smutną twarz.

– Co się dzieje, żabciu...

– Wszystko gra – odpowiedziała przez łzy.

– Spójrz na mnie, kochanie. Powiedz mi, w czym problem...

Oparła głowę o jego ramię. Adam objął ją ramieniem. Czuł, że żona mu o wszystkim nie mówi.

– Dowiedziałam się o tym dwa tygodnie temu. Wciąż byłeś zagoniony, a nie chciałam ci przerywać pracy. Przepraszam...

Kilka łez spłynęło po lewym policzku. Makijaż rozmazał się tworząc ciemne smugi.

– Ależ żabciu, za co mnie przepraszasz?

– Mam raka, Adamie... Ja umieram.

Rozdział 3

WZIĄŁ ZIMNY PRYSZNIC. Czuł jak lodowate krople wody spływają po jego nagich plecach, orzeźwiając zarazem ciało i umysł. Właśnie to było teraz Kielkowi potrzebne.

Dwa osiłki zostawiły go zwijającego się w bólu, później wrócił do domu i ku zdziwieniu jego matki, pierwsze co zrobił to zaczął sprzątać swój pokój. Szukał tylko jednego – narkotyków, które miały zażegnać patową sytuację, w której właśnie się znajdował.

Niczego nie znalazł. Nic nie pamiętał, a Albert wciąż nie odpowiadał na telefony, do Magdy zwyczajnie bał się zadzwonić.

Ubrał się i wyszedł z domu. Od razu pożałował, że ubrał ciemną koszulkę, bo słońce ze zdwojoną siłą kumulowało na nim swoje promienie.

– Dzień Dobry! Chciałbym sprawdzić swój stan konta – podszedł do okienka w miejscowym banku, gdzie trzymał swoje oszczędności. Przez okres pięciu lat, kiedy studiował we Wrocławiu, udało mu się uzbierać okazałą sumkę, którą odłożył na przyszłość na wypadek, gdyby chciał się ustatkować. Zresztą planował wziąć z Magdą ślub. Jeszcze nie byli zaręczeni, ale wszyscy znajomi niezmiennie twierdzili, że są świetnie dobraną parą. Nie chciał już czekać, był zdecydowany i pewny swoich uczuć.

– Cześć Kielku! Dawno cię nie widziałam – urokiem mieszkania na wsi był fakt, że wszyscy się znali. Pani w okienku okazała się jego znajomą jeszcze z czasów szkoły podstawowej. – Co u ciebie słyhać?

Do dupy.

Dwójka gangsterów poluje na mnie od rana, bo kupiłem od nich kokę, przez co mogę trafić na kilka lat do więzienia.

– Super! – odpowiedział wymuszając na sobie uśmiech. – Przepraszam, ale troszkę mi się śpieszy. Mógłbym poznać stan swojego konta?

– To sekundę potrwa. Mogę poprosić o dowód? – zaczęła powoli wstukiwać jego dane do systemu. – Chcesz usłyszeć dowcip?

Tylko o tym marzę...

Udał zaciekawionego. Zaczął wysłuchiwać kiepskiego dowcipu znajomej, której imienia nawet nie próbował sobie przypomnieć. Usłyszał śląską gwarkę – nie przepadał za nią, sam nigdy jej nie używał, ale przyzwyczał się, że w wielu domach ta tradycja jest wciąż kultywowana. Kawał się skończył, ale jeśli ktokolwiek oczekiwał od niego entuzjastycznego wybuchu śmiechem, niestety się zawiódł.

– Chyba nie w humorze, co? – powiedziała znajoma widząc jego reakcję. – Mam wyciąg z konta. Chyba już rozumiem twój kiepski humor.

Podala mu wydruk. Widniała tam suma trzystu złotych. Złapał się za głowę. Starał się zachować spokój, aby nie wzbudzić podejrzeń. Nie wiedział co robić. Dwadzieścia tysięcy złotych zniknęło w trakcie jednej nocy, a on nawet nie wiedział na co to wszystko wydał.

Koleżanka spojrzała na niego z niepokojem.

– Wszystko w porządku?

Lepiej tego nie można było ująć... Wszystko w porządku? Nic nie było tak jak być powinno.

– Mogę się dowiedzieć, kiedy wypłacałem ostatnio pieniądze?

– Oczywiście. Godzina trzecia nad ranem na ulicy Mickiewicza w Katowicach. Cztery razy wypłacono kwotę w wysokości pięciu tysięcy złotych.

Był zdziwiony, że jego limity na koncie pozwoliły na takie operacje.

– Dziękuję – odpowiedział i skierował się w stronę wyjścia.

W tej chwili nie martwił się gdzie wydał te pieniądze. Miał przed oczami dwóch dobrze zbudowanych dresiarzy, którzy jutrzejszego dnia mieli znowu tu wrócić, a on nie posiadał nic, co mogłoby ich zadowolić.

Zapukał do drzwi. Otworzyła mu mama Alberta, chwilę później pojawił się jego przyjaciel. Podali sobie na przywitanie ręce.

– Chodźmy. Zbyt ładna pogoda, żeby siedzieć w domu – powiedział Albert. – Masz mi coś do powiedzenia? – zapytał z wyrzutem chwilę po tym jak oddalili się na bezpieczną odległość od domu.

– Nic nie pamiętam. Byłem wczoraj w Katowicach na imprezie. Obudziłem się dzisiaj w domu, ale nawet nie wiem jak się tutaj dostałem – zaczął się tłumaczyć.

– Co się z tobą stało, stary?! Na jakim świecie żyjesz? – Albert złapał go za kołnierz. – Obudziłeś mnie po czwartej w nocy, każąc mi po ciebie przyjechać. Bredziłeś coś o Magdzie byłeś na haju, odwałało ci. Odwiozłem cię do domu i zaprowadziłem do łóżka.

Kiełek opowiedział Albertowi o tym, co się dzisiaj wydarzyło.

– Rozmawiałeś z Magdą? – przyjaciel się zaciekawił.

– Jeszcze nie. Z kim wczoraj byłem w tych Katowicach? Wiesz coś?

– Miałem jechać z tobą, ale nie przepadam za imprezami w czwartki, tym bardziej, że dzisiaj musiałem być w pracy. Mówiłeś, że jedziesz z Magdą trochę potańczyć.

– Co ja mam zrobić z tymi ludźmi? Jutro przyjadą, a boję się, że może być nieprzyjemnie.

– Policja?

To rozwiązanie nie brzmiało dla niego poważnie.

– Ciekawe jak wytłumaczę się z tej koki. Jest jeden znaczący problem. Nic nie pamiętam.

– Nie mam oszczędności, więc nie jestem w stanie pożyczyć ci takiej sumy.

Albert pracował w kancelarii radcowskiej. Byli rówieśnikami, ale ich losy potoczyły się zgoła odmiennie. Przyjaciel ukończył studia prawnicze z wyróżnieniem, ale też nie miał na początku zbyt łatwo.

– Dzięki, ale tym razem muszę sobie poradzić sam. Popełniłem błąd, ale to nie powód, aby cierpieć na tym inni.

– Pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć! – Albert poklepał Kiełka po ramieniu.

Pożegnali się. Kac w parze ze słońcem nie sprzyjał myśleniu, a potrzebował chwili wytchnienia.

– Co zrobisz? – zapytał Albert na odchodne.

– Chyba nie pozostało mi nic więcej niż iść do księdza i dać na ofiarę to, co jeszcze mi zostało...

ZAPADAŁ ZMROK. SIEDZIAŁ W SWOJEJ kryjówce, a hałas samochodów nie pozwalał mu zasnąć. Dochodziły do niego pokrzykiwania ludzi, który zapewne zmierzali do klubów w ten piątkowy wieczór.

Z jego łazienki wydobywał się stęchły zapach, który przyprawiał go o mdłości. Grzyb trawił resztki tego, co jeszcze w tym mieszkaniu zostało. Przenośny komputer wydobywał z siebie monotematyczną melodię, która wprowadzała go w trans samouwielbienia.

Jego plan był prosty.

Zabić.

A tortury były najlepszym sposobem, towarzyszył temu krzyk ofiary, ich strach. Nie było nic przyjemniejszego. Ten krwawy pejzaż przemocy śnił mu się tak wiele razy, czekał na kolejny raz. Nadszedł finał.

Internet wielkimi nagłówkami donosił o morderstwie na Śląsku: „Całował ją, a następnie wyrwał jej rękę”.

Nie przejmował się spermą. Za stary był na gierki z policją, nie obawiał się, że go złapią. Chodziło o odpowiednie przygotowanie, a jego plan był perfekcyjny. To on był królem na planszy pełnej pionków. Wiedział dokładnie jak zapewnić sobie bezpieczeństwo.

Wyszedł na ulicę. Ludzie ze zdziwieniem spoglądali na jego wysokie czarne glany. Rozpięta do połowy koszula odsłaniała umięśnione ciało, mimo to przykrywała liczne rany i blizny. Przyglądził kruczoczarne włosy stylizowane na fryzurę Travolty.

Jego przywilejem było to, że nie wyglądał jak pospolity przestępca, wtapiał się w tłum. Co prawda przyciągał wzrok pięknych dziewczyn, budził podziw i pożądanie, to go dowartościowywało, ale nikt nie miał prawa go podejrzewać o czyny, których się dopuścił. Na szczęście jego myśli pozostawały mrocznym sekretem, którego nie zamierzał wyjawiać.

– Dwa duże hamburgery, frytki i cola dietetyczna – wyrecytował młodej dziewczynie, która stała za kasą w pobliskim fast foodzie.

– Pozwolę...

– Nie! Nie chcę zestawu. Dziękuję – uprzejmie przerwał jej wypowiedź. Dziewczyna popatrzyła na niego. Jej wzrok zatrzymał się na chwilę na czarnym tatuażu, który znajdował się na jego przedramieniu. Widoczna była tylko jego część, pozostałą przykrywał rękaw koszuli.

– Coś jeszcze? – zapytała unikając jego wzroku.

– Ciekawi cię ten tatuaż, prawda? – nie chciał wzbudzić jej podejrzeń. – Wybryk młodości. Zrobiłem sobie pewnego razu wraz z przyjaciółmi. Dziewczyny wybrały motyle albo chińskie znaczki, ale ja chciałem mieć tego węża – podwinął rękaw i zaprezentował w całości wijącego się po jego ramieniu gada.

– Dlaczego?

– Żyjemy w niebezpiecznych czasach, prawda? – uśmiechnął się. – Wąż ma za zadanie mnie bronić. Dzięki niemu czuję się bezpieczny.

– Płaci pan kartą czy gotówką? – przerwała jego wywód.

– Gotówką – nawet nie posiadał konta bankowego. Wyciągnął plik stuzłotowych banknotów. Dziewczyna odwróciła wzrok i udała, że nic nie widziała.

– Proszę – zapłacił. – Reszty nie trzeba!

Może popełnił błąd. W końcu mało kto zostawia napiwek w fast foodach. Spojrzał ostatni raz na młodą dziewczynę. Zastanawiał się, czy może być niebezpieczna. Czyż nie łatwiej byłoby ją zlikwidować? Na samą myśl poczuł podniecenie, a jego ciało pokryło się gęsią skórą. Potknął się na nierównym chodniku. Obok przechodził akurat policjant, który energicznie do niego podszedł i pomógł wstać.

– Wszystko w porządku? – zapytał mundurowy.

– Tak, dziękuję. Potknąłem się – otrząpał się z kurzu. – Dlaczego tutaj tak dużo patroli? Urok piątkowego wieczoru?

– Raczej zaostrenie środków bezpieczeństwa w związku ze sprawą tego mordercy. Narobił trochę zamieszania. Proszę uważać, miłego wieczoru! – policjant odszedł w przeciwnym kierunku. arł oddalając się od mundurowego.

Trochę zamieszania.

Nawet nie zakładał, że jego morderstwo wzbudzi tyle emocji. Nie miał nic przeciwko. Zapewne nie było to wymarzoną scenariuszem dla polityków, bo media, zamiast skupiać się na trwającej kampanii wyborczej, opisywały przede wszystkim zbrodnię na Śląsku.

Wrócił do baru szybkiej obsługi. Ekspedientka, która sprzedała mu hamburgery, uśmiechnęła się na jego widok.

– W czym mogę pomóc? – zapytała.

– Masz jakieś plany na wieczór? – miał jeszcze ochotę zapytać o wiek, ale teraz to nie miało większego znaczenia. Miał erekcję i choć nie potrafił zidentyfikować bezpośredniego bodźca, nie chciał zostawić tego bez odpowiedzi.

Kobiety są niebezpieczne. Trzeba je szanować, zarazem trzymać na dystans. Należy również zaspokajać żądze. Tamara zapewne nie byłaby zadowolona, ale teraz była zajęta innymi sprawami, od których zależało powodzenie jego misji.

– Czy mam to uznać jako propozycję randki? – odpowiedziała ekspedientka, była onieśmielona jego słowami. – Może najpierw się poznamy, hmm? Nazywam się Agnieszka.

– Jestem Damian. Miło mi poznać – bar szybkiej obsługi raczej nie nadawał się na scenografię filmu romantycznego, ale nie w głowie mu były amory. Chodziło tylko i wyłącznie o zaspokojenie i bezpieczeństwo.

Godzinę później Agnieszka skończyła pracę. Zmierzała w stronę jego mieszkania. Trzymali się na dystans, ale nie potrafił się oprzeć, więc przywarł ją do ściany. Wsunął język do jej ust, przesunął ręką po jędrnych piersiach. Dziewczyna nie oponowała, choć wciąż byli w miejscu publicznym. Odwdzięczyła się pocałunkiem.

Spojrzał jej w oczy i dostrzegł wesołe ogniki. Widziała zbyt dużo przez co stanowiła niebezpieczeństwo.

Jedynym racjonalnym wyjściem była likwidacja. Słowo „litość” zdążył wykasować ze swojego słownika.

– NALEŻAŁOBY ZAJRZEĆ W KARTY historii nowożytności – zaczął Franciszek Kubas, profesor Uniwersytetu Śląskiego. Maria siedziała w jego biurze, a tuż

za nią stał Hubert. – Ustawa karna o nazwie *Carolina* wprowadziła na stałe proces inkwizycyjny. Tortury były ograniczone, jednak stosowano je na dużą skalę przy przesłuchaniach oskarżonych.

Kozielska znalazła się na gabinecie Kubasa nieprzypadkowo. Szukając odpowiedzi na pytanie komendanta dotyczące tortur, władze uczelni skierowały ją tutaj - do profesora, który przewodził katedrze historii prawa.

Hubert opowiedział o sposobie jaki zastosował morderca, aby zabić Zofię Nowak. Szukali punktu zaczepienia, choć jednej poszlaki – czegoś, co nakierowałoby ich na motyw, który kierował działaniami poszukiwanego przestępcy.

Mąż Zofii popełnił samobójstwo. Nie trwało to długo. Wystarczyła tylko chwila, kiedy psycholog zostawił go samego w pokoju przesłuchań. Trudno było spekulować dlaczego to zrobił, istniała możliwość, że sam przyczynił się do śmierci żony, choć miał alibi na ostatni wieczór, w które Kozielska była skłonna uwierzyć.

Policja sprawdzała konta bankowe Nowaków, ich pocztę mailową oraz korespondencję. Zofia po raz ostatni była widziana w niewielkiej kawiarni w centrum Mysłowic. Kelnerka zeznała, że widziała ją z wysokim szatynem o krótko przyciętych włosach, którego widziała w tym miejscu po raz pierwszy.

Kamery umiejscowione w centralnych punktach miasta zarejestrowały jak ofiara wsiada do samochodu z niezidentyfikowanym mężczyzną. Nic więcej do tej pory nie było wiadomo.

Naniesiona w budynku ziemia była jedynym punktem zaczepienia. Mieszanka gliny, pyłu węgla kamiennego, koks, popiół i mocz były analizowane. Było to o tyle ciekawe odkrycie, że gleba w okolicach zamkniętej kopalni w Mysłowicach znacząco się różniła. Zdrapane z butów Zofii ślady również nie pasowały do całości, co dawało nadzieję na to, że ziemię naniósł poszukiwany.

Dochodziła jeszcze sperma, ale baza DNA policji była ograniczona, a badania były zbyt kosztowne i czasochłonne, aby móc na tej podstawie dokonać identyfikacji.

Trzeba było być ostrożnym. Nie znaleziono żadnych odcisków palców. Poszukiwany wiedział jak zatrzeć za sobą ślady, nawet ziemia mogła zostać naniesiona specjalnie, aby ich zmylić.

– Czy istnieją jakieś publikacje, które mogłyby być elementarzem poszukiwanego, jakie metody ma zastosować? – zapytała Maria profesora.

– Sam sposób związania rąk wskazuje na to, że wasz morderca, wie co robi. Znane mi są tysiące ksiązek, które lepiej lub gorzej obrazują krwawe zwyczaje tortur. Muszę wspomnieć o *Theresianie*. Była to ustawa karna wydana w 1768 roku. Kodyfikacja ta była jak na swoje czasy bardzo zacofana. Dopuszczała szeroką gamę tortur, a wszystko dokładnie obrazowała. Mówimy jednak o dokumencie sprzed wielu lat, który aktualnie stanowi jedynie historyczną wartość.

– Strappado? – przerwał Hubert. Maria spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– Jestem pod wrażeniem pana wiedzy – odpowiedział zdziwiony Kubas, który podobnie jak Kozielska, nie spodziewał się takiego pytania. – Jest to jeden z najbardziej kontrowersyjnych rodzajów tortur, bo bardzo bolesny. Ręce wiązano z tyłu, a linę przewieszano przez hak umiejscowiony pod sufitem. Podnoszono przesłuchiwanego, w końcu kości się łamały pod naporem siły...

– Czy morderca mógł posiłkować się właśnie tą starodawną kodyfikacją? – przerwała Kozielska, bo opowieść profesora o strappado budziła w niej obrzydzenie.

– Bardzo możliwe. Opisy tortur są stosunkowo dobrze zachowane. Łatwo je zdobyć i przeanalizować. Tak z ciekawości, czy ofiara była naga? A może na ciele widniały ślady chłosty?

– Rozebrał ją – przysłała z odpowiedzią Maria. – Z tego co wiem, na ciele nie znaleziono śladów po biczowaniu.

– Ciekawe, bardzo ciekawe. Inkwizytorzy w ramach kary potępienia, zanim tortury zostały wykonywane, obnażali przesłuchiwanego oraz stosowali chłostę. Muszę podkreślić, że *Carolina*, o której wcześniej wspomniałem, ograniczała warunki stosowania tortur. Oskarżenie musiało dotyczyć ciężkiej zbrodni, na które sędzia miał mieć nie budzące wątpliwości dowody.

– Gdzie możemy zdobyć kopię *Theresiany*? – Hubert się ożywił.

– Myślę, że *Thesiana* nie jest wam potrzebna. Tortury były podstawą procesu inkwizycyjnego. Osobiście uważam, że był to wynik odejścia od ordaliów, których założenia były zwyczajnie niedorzeczne. Znaleźli z czasem lepsze argumenty i opakowali w lepszą formę. Tak sobie myślę – Kubas się zamyślił. – Powiniście poznać literaturę Benedicta Carpzo.

– Kogo? – Maria po raz pierwszy słyszała takie imię.

– W naszej uniwersyteckiej bibliotece jest mnóstwo publikacji o torturach. Większość ubarwia tę tematykę i tworzy niepotrzebną w tych okolicznościach aurę grozy. Jednak tortury w okresie nowożytności nie były niczym nadzwyczajnym. Carpzo jest autorem książki *Practica Nova* z 1635 roku. Omawia tam szczegółowo *Carolinę*, opisuje metody wykonywania tortur. *Practica* stała się podręcznikiem dla sędziów i pełniła znaczącą rolę w ewolucji niemieckiego prawa. Historycy uważają dzieło Carpzo za podstawę *Thesiany*.

– Dlaczego pan profesor sądzi, że to właśnie Carpzo wpłynął na działania poszukiwanego?

– Nic nie sądzę – Kubas pokręcił przecząco głową. – Jestem tylko człowiekiem. Mogę się mylić. Chcę wam tylko jakoś pomóc, a nos podpowiada mi, że *Practica* da wam odpowiedź. Carpzo sprzeciwiał się chłóście. Uważał, że Carpzo może przynieść wam odpowiedź.

– Gdzie możemy dostać tę książkę?

– Oryginał jest silnie strzeżony. Nawet nie wiem, gdzie można go w tej chwili zobaczyć. Na początek proponuję zajrzeć do Biblioteki Śląskiej. Będziecie potrzebować tłumacza, bo język niemiecki od XVII wieku znacząco się zmienił.

– Dziękujemy bardzo za pomoc. Gdyby coś się panu przypomniało, prosilibyśmy o kontakt – Kozielska podała mu wizytówkę.

Kubas przytaknął.

– Jeżeli kieruje się zasadami stosowania tortur, które były na porządku dziennym parę wieków temu, nie mam dla was dobrych wieści. Znacze jego motywy?

Maria pokręciła przecząco głową.

– Może szuka jakichś odpowiedzi – kontynuował profesor. – Tortury stosowano, aby się czegoś dowiedzieć. Inkwizytorzy zgodnie z obowiązującym prawem mogli stosować tortury nie więcej niż trzy razy. Za każdym razem zwiększano dolegliwość. Skutkiem tego było przyznanie się do przestępstw, których się nie popełniło. Jeżeli robi to jedynie z powodu spełnienia swoich krwawych fantazji, należy go uznać za psychicznie chorego, a to sprawia, że jest jeszcze bardziej niebezpieczny.

– Czegokolwiek szuka, jego ofiara okazała się nieprzydatna... – powiedział Hubert. Maria była już teraz przekonana, że poszukiwany nigdzie nie ucieka. Uczeń Carpzoza miał do zrealizowania plan i powstrzymać go mogło tylko znalezienie odpowiedzi.

Rozdział 4

ZŁAPAŁ SIĘ ZA GŁOWĘ. Przygryzł dolną wargę, chyba trochę za mocno, bo poczuł jak krew spływa po jego brodzie i opada na krystalicznie białą koszulę. Ale nie zamierzał się tym przejmować, były poważniejsze powody do zmartwień – jego żona była chora, a on czuł się bezsilny.

Adam siedział w swoim biurze w Kancelarii Premiera. Był zupełnie sam. Zegar wskazywał na godzinę dwudziestą i większość pracowników wróciła do domu, po całym tygodniu w końcu przyszedł upragniony weekend.

Spoglądał na zdjęcie swojej ukochanej Anny, które niezmiennie od wielu lat stało na jego biurku. Rok temu świętowali dwudziestą piątą rocznicę po ślubie. Byli szczęśliwi i nawet fakt, że Adam był zaangażowany w politykę, nie przeszkadzał dobru rodziny. Obowiązki Premiera sprawiły jednak, że zaczął poświęcać żonie i córce coraz mniej czasu.

Są rzeczy ważne i ważniejsze...

Rak. Przecież wszystko można przezwyciężyć. Siła i upór prowadzą do sukcesu. Przekonał się o tym w trakcie ostatnich lat. O pieniądze się nie martwił, choć nigdy nie było ich za dużo w walce z chorobą.

– Sara już wie? – zapytał godzinę temu swoją żonę.

– Chciałam powiedzieć najpierw tobie. Ona i tak ma wiele innych spraw na głowie.

– Wiesz przecież, że musimy jej o tym powiedzieć.

– Wiem, Adamie, ale... boję się. To wszystko jest dla mnie bardzo trudne.

Przytulił żonę.

– A chemioterapia? Przecież medycyna poczyniła kolosalne kroki w walce z rakiem – wiedział, że jego ukochana żabcia ma wątpliwości.

– Tak, wiem... - Anna mówiła przez płacz – tylko ja nie wiem czy chcę, czy warto?

– Nadzieja umiera ostatnia!

Nadzieja umiera ostatnia...

Starał się zachowywać spokój. Miał za sobą tak wiele debat i innego rodzaju potyczek politycznych, mimo to teraz nie potrafił opanować emocji.

– Do widzenia, panie Wojtku! – powiedział do portiera kierując się w stronę wyjścia. Przy drzwiach czekała na niego dwójka funkcjonariuszy BOR-u. – Dzisiaj macie wolne – zwrócił się do nich. – Dam sobie radę, nie martwcie się.

Jego życie nie było takie proste. Adam wiedział, że ochrona i tak nie pozwoli mu odejść samemu. Zbyt dużo było niebezpieczeństw, głównie od strony obywateli, którzy przypisywali jego poczynaniom powód ich niedostatku.

Wolnym krokiem ominął samochód służbowy i zlekceważył funkcjonariusza, który otworzył mu drzwi.

Potrzebował świeżego powietrza i spaceru. Miał tak wiele spraw do przemyślenia. Zawsze tętnił energią, a jego optymizm udzielał się innym. Teraz czuł się wypalony, za stary na potyczkę z rzeczywistością.

Odwrócił się w stronę dwójki ochroniarzy, którzy podążali za nim jak cień. Biuro Ochrony Rządu było elitarną grupą funkcjonariuszy, których zadaniem była obrona najważniejszych osób w państwie. Rekrutacja stanowiła surowy proces, a każdy najmniejszy błąd karany był zwolnieniem ze służby.

– Krzysiek, prawda? – zapytał młodszego chłopaka. Starał się znać imiona wszystkich współpracowników, w tym również jego ochroniarzy. – Masz rodzinę?

Młody funkcjonariusz spojrział na Adama zdezorientowany. Nauczyli ich strzelać do ludzi, a zapomnieli o umiejętności rozmawiania z drugim człowiekiem.

– Mam narzeczoną, panie premierze – odpowiedział po chwili.

– Kochasz ją?

– Tak, panie premierze.

– Jak wiele jesteś w stanie dla niej poświęcić?

– Nie rozumiem, panie premierze... - na policzkach funkcjonariusza pojawiły się wypieki.

– Co gdyby twoja narzeczoną była w niebezpieczeństwie, co byś zrobił, żeby ją ratować?

– Wszystko, panie premierze. Bezwzględnie. Oddałbym wszystko, co mam...

– Zaprzedałbyś duszę diabłu?

Krzysiek popatrzył na Adama z lękiem. Wolski też zaczynał bać się swoich myśli.

– Wszystko w porządku, panie premierze?

– Nic nie jest w porządku, panowie. Nic...

STUDIOWANIE WE WROCŁAWIU były dla Kielka pozytywną odmianą. Poznał ludzi i świat, prawdziwe życie, które na wsi wyglądało zdecydowanie inaczej. Teraz było zdecydowanie gorzej, bo nie łatwo znaleźć pracę w zawodzie po kierunku filozofii, a nie miał ambicji, aby zostać na uczelni i robić doktorat.

Wszedł do Urzędu Gminy w Ornontowicach i założył służbową kurtkę. Pożegnał się ze zmiennikiem i usiadł w recepcji, aby rozpocząć swoją nocną zmianę jako stróż.

Pracował tutaj od niedawna. Był to rezultat nacisku mamy i taty, żeby w końcu zaczął na siebie zarabiać. W okolicy znajdowało się kilka większych miast, ale nie znalazł żadnej oferty poza stanowiskiem kasjera w MacDonalddie, a rozwój w tym miejscu wydawał mu się przereklamowany.

Siedział w ciemności i śledził wzrokiem wskazówkę zegara, która mozolnie, niczym żółw, pełzała do przodu jakby się jej nie chciało. A wszystko to za marne tysiąc czterysta złotych miesięcznie.

Nie narzekał. Od czegoś trzeba zacząć, a przynajmniej niedaleko miał do domu. Samotność nie stanowiła dla niego problemu. Z zasady nikt go w nocy odwiedzał. Czasem zadzwonił telefon, a on odpowiadał, że to pomyłka. Czas spędzał na rozmyślaniu lub drzemce na wygodnym fotelu.

Był zbyt wielkim tchórzem, żeby odwiedzić dzisiaj Magdę. Była jego dziewczyną już od trzech lat. Podobnie jak on, studiowała wcześniej we Wrocławiu. Zdobyła tytuł magistra chemii i dwa miesiące temu rozpoczęła staż w dużym przedsiębiorstwie zajmującym się produkcją kosmetyków.

Musiał dowiedzieć się, co zaszło ostatniej nocy, a Magda mogła udzielić mu takiej odpowiedzi. Napisał do niej sms-a, ale nie doczekał się odpowiedzi. Przyrzekł sobie, że odwiedzi ją rano, zaraz po pracy.

Zamknął oczy. Słyszał każdy szelest, najcichsze skrzypnięcie i echo. Przyzwyczyił się do tego rodzaju nocnych rozrywek. Początkowo w panice przechadzał się z latarką i szukał źródła hałasu, dopiero kiedy zmiennik go wyśmiał, zmienił swoje postępowanie i ze spokojem przyjmował różne odgłosy.

Powracały pytania o kokainę, dwóch dresiarzy i pieniądze, które tajemniczo wyparowały z jego konta.

Tak naprawdę, bał się jedynie o swoją rodzinę. To było oczywiste, że nie chciał, aby ktokolwiek ucierpiał z jego powodu. Przez chwilę myślał, aby wziąć pożyczkę, ale nawet gdyby dostał kredyt, nie miałby jak zwrócić pieniędzy. Pożyczyć też nie miał od kogo, a rodziców nawet nie chciał informować o całej sprawie, bo kazaliby mu zawiadomić policję.

Mógł sprzedać swój samochód. Gdyby się dogadał z odpowiednią osobą, mógłby dostać około siedmiu tysięcy. Potrzebował jednak czasu.

Wyciągnął z pokrowca gitarę. Był samoukiem, kwestią drugorzędną był sam talent, chodziło tylko i wyłącznie o przyjemność, która towarzyszyła tej pasji. Pisał własną muzykę, ale wrzucał wszystko do szuflady. W pustym budynku Urzędu Gminy nikt mu nie przeszkadzał, dzięki czemu mógł pozwolić sobie na taniec po strunach jego gitary.

Zapalił papierosa. Mocno się zaciągnął i wypuścił powietrze. Nie palił na co dzień, musiała być ku temu odpowiednia okazja. Dzisiaj nie wytrzymał. Zbyt wiele emocji i pytań, na które nie potrafił sobie odpowiedzieć.

Założył kapodaster i rozpoczął swoją litanie rozpaczy, która oparła się mollowych akordach. Wibracja przeszła po jego plecach. Zamknął oczy. Każdy odgłos odbijał się od białych ścian budynku. Znajdował się w świetle muzyki i nic nie mogło go zatrzymać. Natężenie rosło, a kolejne sekundy odmierzały takt.

Usłyszał jakiś głos. Przyłożył rękę do strun i wyciszył muzykę. Ktoś wszedł do budynku. Automatem drzwi ponownie się zamknęły. Po chwili ujrzał jak starsza kobieta podchodzi do bankomatu.

To był pomysł. Potrzebne pieniądze były na wyciągnięcie ręki.

Co robić? Wstał i podszedł do kobiety, która nawet się nie domyślała, w jak wielkim znalazła się niebezpieczeństwie.

– NIE ROZUMIEM WAS! – powiedział Hubert do Kozielskiej.

– Kogo?

– Jak to kogo?! Kobiet.

Maria uśmiechnęła się pod nosem. Prowadziła samochód, ale zerknęła kątem oka na Misia, który siedział na miejscu pasażera.

– Znowu jesz? Przecież już prawie dziesiąta! Nie można się opychać na noc!

Hubert miał pełne usta. Po jego gestykulacji wywnioskowała, że próbuje przedstawić jej swoją teorię wafelków zbożowych. Kozielska dbała o dietę. Jeszcze pięć lat temu słodczyce były dla niej zarazą. Pomimo niewielkiego wzrostu, ledwo mieściła się w rozmiar M. Problemy astmatyczne i zalecenia lekarza zmusiły ją jednak do zmiany stylu życia. Teraz czuła się świetnie, wyglądała młodziej, a przynajmniej jej się tak wydawało. Ku swojemu zdziwieniu, co jakiś czas przyłapywała na ulicy mężczyznę, który obracał w jej stronę wzrok.

– Czego nie rozumiesz? – Maria była bardzo ciekawa, jaki problem ma jej kompan ze służby.

– Zacząłem chodzić na kurs tańca. Mama wciąż narzekała, że nikogo nie ma i że bym coś ze sobą zrobił. No to pomyślałem, że trochę potańczę, spale trochę tkanki tłuszczowej, a przy okazji kogoś poznam...

– W czym problem? – Kozielskiej trudno było sobie wyobrazić Huberta na parkiecie. Był dość wysoki, w dodatku trochę przy kości. Jako jeden z nielicznych policjantów nosił mundur w rozmiarze XXL. Miał jednak niepowtarzalne poczucie humoru. Z daleka przypominał wielkiego misia, ale ci, którzy go znali, dobrze wiedzieli, że nie skrzywdziłby nawet muchy.

– Spodobała mi się taka jedna dziewczyna... - policzki Huberta pokrył purpurowy cień. – Trochę razem potańczyliśmy i okazała się bardzo sympatyczna. Powiedz mi... Jeżeli ktoś ci się podoba, jak się zachowujesz?

– Chyba nie jestem odpowiednią osobą, Hubercie...

Była w separacji z mężem. Osoba, którą uważała za przyjaciela, okazała się pedofilem. Metryka wskazywała czterdzieści pięć lat, a codzienność utwierdzała ją w przekonaniu, że stwierdzenie „szalone lata czterdzieste” jest przereklamowane. W dodatku nie pamiętała czasów, kiedy sama uganiała się za chłopakami.

– Chodzi mi o to – drążył temat Hubert – że zaprosiłem ją na kawę. Kosztowało mnie to trochę wysiłku, bo jestem dość nieśmiały w kontaktach z dziewczynami.

Kozielska próbowała zachować poważną minę.

– Zgodziła się? – zapytała.

– Połowicznie....

– To znaczy?

– Mieliśmy iść tydzień temu od razu po zakończeniu kursu. Już przebieraliśmy się w szatni, a Kasia, bo tak właśnie ma na imię, zaproponowała wspólne wyjście całej grupie! Nigdy nie byłem na tak romantycznej randce... – powiedział rozgoryczony. – W sumie to nigdy nie byłem na randce – Misiu opuścił głowę. Gdyby Maria nie musiała trzymać kierownicy, to pewnie poklepałaby go po ramieniu.

– A może to się dzieje dla niej za szybko? – próbowała postawić się w podobnej sytuacji.

– Nie pocieszaj mnie, Marysiu. Nie oczekuję, że będziesz mi współczuć. To, że jestem ofiarą losu, nie jest twoją winą – powiedział Hubert, który sam zaczął śmiać się ze swojej smutnej doli. – Powiedz mi po prostu, co siedzi w waszych głowach?! Z całym szacunkiem, ale nie ogarniam tego.

– Pocieszę cię. Zdradzę ci naszą małą tajemnicę, my siebie też nie do końca rozumiemy. Ale nie rezygnuj za szybko! Może tylko cię sprawdza. Czasem się tak zdarza, że trochę was kokietujemy. Lubimy jak się staracie, wydaje mi się to naturalne.

– Co mam robić? – Hubert wyglądał na podłamanego jej słowami.

– Poznajcie się. Taniec jest dobrą okazją. Zaproponuj jej wspólne wyjście, nie poddawaj się. Nie naciskaj, bo może jest równie nieśmiała jak ty. Udawaj, że wszystko ci obojętne, bez względu na to, co naprawdę czujesz..

– Dzięki – powiedział Hubert. Dotarli na miejsce. Przed nimi znajdował się pomarańczowo–niebieski budynek Komendy Wojewódzkiej w Katowicach.

– Jakbyś miał jakieś pytania, problemy, albo będziesz chciał po prostu porozmawiać, jestem do dyspozycji – Kotarska czuła się dzięki temu bardziej potrzebna. – Idź zdać raport, mam nadzieję, że komendant nie będzie miał nic przeciwko, żeby książkę Carpzoza zdobyć dopiero jutro. W końcu nie włamiemy się do zamkniętej biblioteki.

– A co z tobą?

– Muszę załatwić jedną sprawę.

Kozielska podjechała do aresztu. W środku śmierdziało, czego głównym powodem byli bezdomni. Był piątek, więc dochodzili jeszcze złapani na podwójnym gazie, pijani kierowcy.

– Co z tą staruszką? – Maria zwróciła się do policjanta, który pełnił nocny dyżur.

– Siedzi w piątce – wskazał ręką na jedną z celi. – Nie zjadła kolacji. Przyszedł adwokat przydzielony z urzędu, ale nie chciała z nim rozmawiać.

– Znacie już dane osobowe?

– Nazywamy ją Stasia. Odmówiła podania imienia i adresu, ale wątpię aby go w ogóle posiadała.

Maria podziękowała i poszła we wskazanym kierunku.

Stasia siedziała przygarbiona na pryczy. Oczy miała zamknięte. Był półmrok, więc Kozielska ledwo ją widział.

– Przepraszam. Słyszysz mnie pani? – zapytała.

Kątem oka zobaczyła, że inni zatrzymani, podszli bliżej krat zaciekawieni jej przybyciem.

– Co się stało? – rozległ się chrapliwy głos staruszki.

– Czy ma pani świadomość, jak poważne zarzuty pani grożą? Gdyby zechciała pani nam to wyjaśnić, prokurator na pewno wzięłby to pod uwagę.

– Nie grajcie ze mną w te głupie gierki – zaśmiała się Stasia, co bardziej przypominało rechot żaby. – Za stara jestem na takie numery. Prędzej zdechnę w tej celi niż wam coś powiem!

Kozielska nie miała siły się kłócić ze staruszką. Wróciła do dyżurującego policjanta.

– Sprawdziliście tą broń? Znaleźliście jakieś odciski palców?

– Tutaj jest dokumentacja – podał Kozielskiej teczkę. – Z tego co wiem, zero śladów. Broń jest w kiepskim stanie, nieużywana w ostatnim okresie, nie zakonserwowana.

– Czyli nie jest nowa?

– Wręcz przeciwnie. Dość mocno wyeksploatowana.

– Co z numerami seryjnymi?

– Śledztwo jeszcze trwa. To zajmie trochę czasu.

– Tyle sztuk broni i żadnego odciska palca? – Kozielska nie mogła uwierzyć.

– Może Stasi się nudziło – odpowiedział żartobliwie dyżurny.

Z daleka dobiegł jedynie złowieszczy śmiech staruszki.

PRZYWIĄZANE JEJ RĘCE DO ŁÓŻKA. Agnieszka zerkała z coraz to większym przerażeniem na jego kolekcję noży. Damian jeszcze nie podjął decyzji, co z nią robi. Zbyt dużo wiedziała. Bezsprzecznie. Jego błąd. Ale przecież nie będzie płacił za swoje przewinienia.

Był pełen podziwu dla odwagi Agnieszki. Szybko się zorientowała, że pójście z Damianem było błędem. Ale nie uciekała, nie krzyczała, zapewne wiedziała, że jest na przegranej pozycji.

Znajdowali się w jego kryjówce. Główna ulica Gliwic była najbardziej anonimowym miejscem jakie mógł znaleźć. Nikt nie spodziewał się, że na drugim piętrze w starej kamienicy, niewielkie mieszkanie wynajmuje Damian, który dzisiejszej nocy zabije kolejną osobę.

– Jak naprawdę się nazywasz? – zapytała Agnieszka. – To ty jesteś tym poszukiwanym mordercą, prawda?

Damian był pod wrażeniem.

– Moja odpowiedź nic nie zmieni, ale faktycznie masz rację.

– Ale dlaczego?! Jesteś... normalny?

Damian nie potrafił powstrzymać się od śmiechu.

– Morderstwo nie jest niczym wyjątkowym w dzisiejszych czasach. Każdego dnia z ręki człowieka giną ludzie. Nie pytaj mnie czy jestem normalny. Jestem fanatykiem, nie zmienię tego. Robię to, bo mam cel, który muszę osiągnąć.

– Miłość?

– Słucham? – zdziwił się. – Nigdy nie miałem czasu na miłość. Seks zaspokaja żądze i pragnienia. Niczego więcej nie potrzebuję... Uczucia to słabość.

– Zabijesz mnie, prawda?

Wziął do ręki jeden ze swoich noży. Podrzucił go w górę i pewnie złapał. Agnieszka skuliła się w kłębek.

– Dlaczego akurat ja?! – powiedziała cicho jakby bała się, że krzyk go rozwścieczy. – Proszę! Puść mnie! Nic nikomu nie powiem!

– Nie mam gwarancji...

– Mówisz, że działaś, bo masz cel. Przecież nic nie zrobiłam. Jestem niewinna!

Damian znowu zaczął się śmiać.

– Wszyscy są niewinni... – podszedł do niej i z chirurgiczną precyzją rozciął jej bluzkę.

– Nie-e... Proszę – Agnieszka patrzyła na niego wzrokiem błagającym o litość...

– Wiesz, polubiłem cię – dawno nie powiedział czegoś tak szczerego. – Skąd jesteś? Co robisz w Gliwicach?

Oddalił się od łóżka i usiadł obok z ciekawością przypatrując się Agnieszce. Obracał nóż w jednej ręce, co jakiś czas podzuczając go pod sam sufit.

– Uczę się na Politechnice Śląskiej, a teraz w wakacje sobie dorabiam. Przyjechałam z Częstochowy.

Za mało modliłaś się na Jasnej Górze, że znalazłaś się tutaj...

– Pamiętasz jak mówiłem ci o wężu? – wskazał na swój tatuaż. Dziewczyna przestraszona spojrzała na wijącego się po jego przedramieniu węża.

Agnieszka kiwnęła głową, odważnie patrzyła mu w oczy.

– Chciałbym abyście poznali się bliżej – wstał. – Agnieszko, to jest Joachim. Joachim, to jest Agnieszka – powiedział tak jakby przedstawiał sobie dwóch znajomych.

Podszedł do terrarium i uchylił pokrywę. Potężny gad poruszył się zaciekawiony.

– Mam parę spraw do załatwienia. Za chwilę wrócę – odparł. – Joachim dawno nie jadł, bo karma jest dość droga, ale uspokoję cię. Czasami jest przyjazny dla ludzi...

Czasami.

Wyszedł i zatrzasnął za sobą drzwiami. Zostawił Agnieszkę sam na sam z olbrzymim wężem.

Rozdział 5

–WŚRÓD MOZAIKI SERYJNYCH MORDERCÓW, sprytnych rabusiów oraz szalonych porywaczy – spiker wieczornych wiadomości mówił do kamery znudzonym głosem. – Uczeń Carpzoza, jak nazwała policja poszukiwanego, to przypadek szczególny. Jego działania są wyrafinowane, trudno ocenić jaki będzie jego kolejny krok. Nasza telewizja otrzymała informację, że zabójca wzoruje swoje działania na nowożytnych metodach torturowania. Policja wyklucza, aby poszukiwany uciekał z kraju. Jak mówi rzecznik Komendy w Katowicach, dopóki Uczeń Carpzoza nie zostanie schwytany, lepiej zostać w domu, bo trudno przewidzieć wedle jakich motywów działa i kto będzie jego kolejną ofiarą. Jest z nami w studiu psycholog, Antoni Surygała. Witam pana serdecznie.

– Dobry wieczór! – odrzekł starszy mężczyzna. Jego nerwowe ruchy wskazywały na to, że nie przywykł do tego typu publicznych wystąpień.

– Czy ma pan jakieś przypuszczenia dotyczące poszukiwanego mordercy? Wedle jakiego klucza działa, czego szuka, dlaczego stosuje tortury?

– Gdybyśmy znali odpowiedź na te wszystkie pytania, morderca zostałby już pewnie schwytany. Bez względu na to, gdzie teraz jest i co zamierza, jest niezwykle niebezpieczny. Z przykrością muszę powiedzieć, że Uczeń Carpzoza wydaje się przygotowany do swojej misji. Tortury trwały przez dłuższy czas. Dobrze wiedział, że budynki starej kopalni w Mysłowicach są opuszczone i nikt mu nie będzie przeszkadzać. Gdyby nie maszynista, do teraz nie wiedzielibyśmy o tej zbrodni i upłynąłby długi okres czasu, zanim znaleźlibyśmy ofiarę. Dlaczego stosuje tortury? Znam wiele odpowiedzi, każda z nich może być prawdziwa lub fałszywa. Osobiście uważam, że ta metoda spełnia jego założenia. Może fascynuje się historią, sprawdza czy stosowane sposoby torturowania nie są jedynie fantasmagorią naukowców...

– Czego możemy spodziewać się w najbliższych dniach? Kolejnej ofiary?

– Zakładając, że Uczeń Carpzoza jest perfekcjonistą, kolejne morderstwo jest zależne jedynie od tego, czy jest pewny, że misja się powiedzie. Nie będzie ryzykował. Ma przewagę nad policją i jest tego świadomy. Równie dobrze morderca może być w tym budynku...

Adam wyłączył telewizor. W ręce trzymał szklanekę z niewielką ilością szkockiej whisky. Trunek ten dostał od premiera Włoch przy okazji jednego ze wspólnych spotkań.

Obok niego siedziała Anna. Pisała coś w swoim kajeciku. Wolskiego czekał jutro trudny dzień. Rano zwołał nadzwyczajne posiedzenie Rady Ministrów. Od poniedziałku większość wyjeżdżała na urlopy, a było wiele spraw do ustalenia. Później miał spotkanie w Komendzie w Katowicach, aby dowiedzieć się więcej o śledztwie oraz zagwarantować wszelką potrzebną pomoc.

– Dlaczego nie chcesz się leczyć? – Adam spojrzał na Annę.

– Boję się. To wszystko nie jest takie proste. Zwyczajnie nie wiem czy dam sobie sama z tym wszystkim radę. Tym bardziej, że nie ma gwarancji powodzenia chemioterapii...

– O czym ty mówisz? Dlaczego miałabyś zostać z tym sama? Masz mnie, Sarę i całą rodzinę...

– Mam ciebie... – powiedziała z sarkazmem Anna.

– Znaczysz dla mnie więcej niż polityka, kampania wyborcza i praca razem wzięte. Dobrze o tym wiesz, żabciu.

– Jesteś w stanie poświęcić wszystko to, na co pracowałeś przez całe swoje życie? Nie mogę tego od ciebie wymagać. Wiem jak wiele to dla ciebie znaczy. I proszę, nie zaprzeczaj mi.

Już po raz wtóry nie wiedział co powiedzieć.

Są rzeczy ważne i ważniejsze...

Ale rodzina jest tylko jedna.

– Kocham cię! – tak rzadko to w ostatnim czasie mówił.

– Ja ciebie też, ale nasza miłość nie wyleczy raka – odłożyła swój kajecik na bok.

– Kiedy powiemy o tym Sarze?

– Jak najszybciej – powiedziała zdecydowanie Anna – Jest teraz z przyjaciółmi na imprezie. W końcu to piątkowy wieczór, niech się bawi. Chciałabym, abyśmy razem przeprowadzili tę rozmowę.

Adam przytulił się do żony.

– Pamiętaj, że jestem przy tobie. Wszystko będzie dobrze. Musi być!

Wolski znał statystyki umierających na raka. Były zatrważające. Ministerstwo Zdrowia przeznaczało na badania i samo leczenie miliony złotych. Choroba dziesiątkowała populację na całym świecie. Tragedia dotykała wszystkich, bez względu na stan społeczny, majątek oraz narodowość. Wobec raka każdy był równy, a to, że Adam był premierem nic w tym wypadku nie zmieniało.

Wybiła północ. Światło zgasło, ale Adam nie spał. Nie potrafił. Nie chciał.

To nie sen był w tej chwili najważniejszy.

Są rzeczy ważne i ważniejsze...

Nie potrafił się uwolnić o hasła jego kampanii wyborczej. Po raz pierwszy dostrzegł to kryterium rozróżnienia w innych kategoriach. Najważniejsza była rodzina i zdrowie.

Wszystko inne nie miało znaczenia..